



Najciekawszy, najtrudniejszy i najbardziej przygodowy odcinek tego etapu
to przejazd przez wzgórza oddzielające Gironę od morza.



KURORTIADA

Etap 8

Kraj: Hiszpania

Skąd: Girona

Dokąd: Walencja

Dystans: 547 km

Przewyższenie: +3596 m/-3698 m

Szlaki: EuroVelo 8 (na etapie planowania), Vies Verdes

Nawierzchnia: 90% asfalt

Uczestnicy etapu (Atomówki): Agata Siwiec (*Bójka*),
Wiola Witak (*Bajka*), Agnieszka Mirowska (*Brawurka*)

Pilot: Krzysztof Mirowski (*Profesor Atomus*)

Suport: Krzysztof Kalarus (*Burmistrz*)



Przydatne strony:

www.en.eurovelo.com/ev8

www.viesverdes.cat

FRANCJA

HISZPANIA

Girona

Tarragona

Barcelona

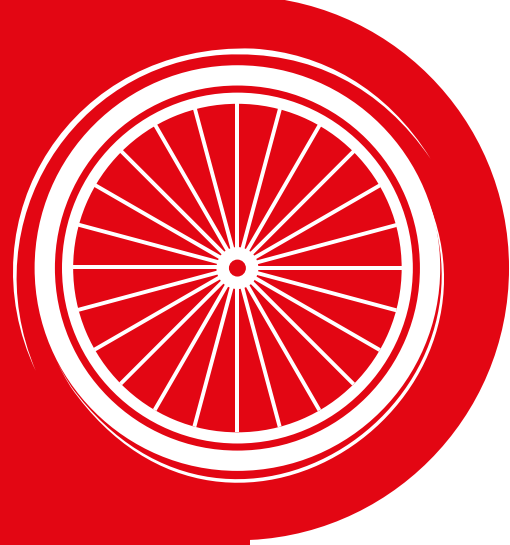
Peníscola

Walencja



TRASA:

Girona, Callela, Mataró,
Barcelona, Stiges, Cubelles,
Tarragona, Salou, L'Ampolla,
Deltebre, Peníscola, Orpesa,
Benicàssim, Castelló de la Plana,
Walencja



400
300
200
100
0
m

dystans

500

450

400

350

300

250

200

150

100

50

Etap 8

PROFIL TRASY:

Girona - Walencja

Dystans: 547 km

Przewyższenie: +3596 m/-
3698 m

Najniższy punkt: 0 m

Najwyższy punkt: 340 m



Na początek trafiamy na rowerową perełkę w postaci szlaku poprowadzonego na trasie dawnej kolejki wąskotorowej, żeby jeszcze tego samego dnia przeprawić się iście afrykańskimi czerwonymi drogami przez dzikie pagórki porośnięte buszem.

Podczas etapu ósmego zwiedzamy kurorty hiszpańskiego wybrzeża Morza Śródziemnego od Girony do Walencji. Na początek trafiamy na rowerową perełkę w postaci szlaku poprowadzonego na trasie dawnej kolejki wąskotorowej, żeby jeszcze tego samego dnia przeprawić się iście afrykańskimi czerwonymi drogami przez dzikie pagórki porośnięte buszem.

Później towarzyszą nam już głównie piaszczyste plaże i dające nieco cienia palmy, a sielankę przerywają pojedyncze, wymagające nieco wysiłku, mikroprzygody. Są one jednak wyważone i nie powinny dobijać, a raczej dawać satysfakcję z pokonanych podjazdów czy mijanych widoków. Na uwagę zasługuje wiele miejsc, przejeżdżamy przez Barcelonę, Tarragonę, a kończymy w Walencji – w każdym z tych miast można by spędzić minimum kilka dni. Poza pierwszym odcinkiem, perełką rowerową jest jeszcze na pewno krótki fragment ścieżki określanej lokalnie jako „via verde paradise” między Orpesą a Benicàssim. Przyrodniczo wyróżnia się Park Narodowy Sierra de Irta, który przecinamy jadąc malowniczymi szutrami. I co jeszcze warto podkreślić, dzięki wielu miastom, miasteczkom i bliskości morza, można tutaj wyżyć się również kulinarnie. Ten etap jest również łatwo dostępny komunikacyjnie, z uwagi na lotniska tanich linii w Gironie i leżącego w pobliżu Walencji - Castelló de la Plana.



Alternatywą dla tej górskiej przeprawy jest ruchliwy asfalt, więc warto się trochę pomęczyć.



Tak wygląda typowe pole namiotowe na hiszpańskim wybrzeżu – klasyczny śródziemnomorski klimat.

Trudność ?

Etap wzdłuż hiszpańskiego wybrzeża Morza Śródziemnego można określić jako umiarkowany, średni z tendencją bardziej w stronę łatwy niż trudny. Na ponad 500-kilometrowym odcinku znaczącą większość stanowią fragmenty w otoczeniu piaszczystych plaż, palm i wakacyjnych kurortów. Jeśli pokonuje się je w komfortowych warunkach atmosferycznych, to mamy gotowy przepis na relaks. Pewną trudność mogą stanowić krótkie podjazdy, ponieważ najpierw musimy przekroczyć wzgórza oddzielające wybrzeże od Girony, a później kilka razy wybieramy się na okoliczne wzniesienia w poszukiwaniu alternatyw do główniejszych dróg poprowadzonych niżej. Przewyższenia jednak nie są duże, cały czas mamy do czynienia z pagórkami, a nie regularnymi górami. W kontekście dróg, ich jakości i bezpieczeństwa poruszania się jest bardzo różnie, jedziemy zarówno ścieżkami rowerowymi z dala od ruchu samochodowego, jak i całkiem ruchliwymi drogami łączącymi nadmorskie kurorty.

Noclegi

Podróżujemy przez region bardzo turystyczny, więc oferta noclegowa jest szeroka i każdy znajdzie coś dla siebie. Jadąc w sezonie wysokim trzeba pamiętać o wcześniejszych rezerwacjach, nawet na kempingach. Sezon jest tutaj zdecydowanie dłuższy niż np. we Francji, większość kempingów jest otwarta do końca października, a niekiedy nawet do połowy listopada, co daje duże możliwości podróżowania w okresie, gdy już nie ma takiego natłoku turystów, a jednocześnie jest jeszcze całkiem przyjemnie i ciepło.

Jedzenie

Wybrzeże wręcz ugina się pod obfitością świeżych ryb, owoców morza i potraw z nich przyrządzanych. W wielu miejscach można skosztować krewetek, kalmarów czy małż. Rzadko podróżujemy przez miejsca odludne, więc codzienne dobre odżywianie nie stanowi żadnego problemu. Dodatkowo przejeżdżamy przez plantacje oliwek, migdałów, mandarynek, pomarańczy i innych owoców typowych dla ciepłego klimatu – wszystko to jest dostępne w lokalnych sklepach i na targach. Kwestia oczywiście pory roku, w jakiej będziemy podróżować. Przysmakiem regionu są również długo dojrzewające szynki, tzw. *jamon iberico*. Z konkretnych dań warto spróbować np. *gambas* czy inaczej *langostinos*, czyli grillowanych krewetek z oliwą z oliwek i czosnkiem; popularnej *paelli* z warzywami czy *patatas bravas* – smażonych ziemniaków podawanych w pikantnym sosie.

Nawigacja

Z jednej strony można by powiedzieć, że jest to etap nawigacyjnie oczywisty – wystarczy jechać wzdłuż wybrzeża i w końcu znajdziemy się w Walencji. Lecz w praktyce jest to odcinek trochę upierdliwy. Gdy przedostajemy się przez pierwsze wzgórza w kierunku morza, poruszamy się momentami po tarasach, na których poprowadzono bardzo wiele dróg trawersujących wzniesienia i nawet GPS zaczyna się gubić, na jakim poziomie aktualnie jesteśmy. Gdy przemierzamy tereny bardziej płaskie, to infrastruktura drogowa jest tak obfita, że łatwo wjechać w nie tę drogę, co trzeba. A z kolei odjeżdżając od wybrzeża musimy przekraczać autostrady i też nie zawsze jest to intuicyjne. Nie ma tu wygody poruszania się przez wiele kilometrów jednym szlakiem, jak w Szwajcarii czy wzdłuż francuskiego Rodanu – trzeba jechać czujnie i orientować się w terenie przez cały czas.



Bardzo popularnym daniem w Hiszpanii jest paella z kurczakiem i warzywami.



Rowerowa instalacja przy ścieżce kilka kilometrów za Gironą w miejscowości Llablilles.



Można by pomyśleć, że to regularna dżungla gdzieś w Ugandzie, na wyspie Réunion albo na Fidżi, a to tylko małe wzgórze oddzielające Gironę od Morza Śródziemnego.

Opuszczając Gironę na początku kontynuujemy jazdę po szlakach Vies Verdes. Z Olotu do Girony dotarliśmy pierwszym odcinkiem tzw. „Narrow-Gauge Railway”, a wyjeżdżając z miasta korzystamy z jego drugiej części. Jest to trasa dawnej kolejki wąskotorowej, dobry ubity szuter lub inaczej granit piaskowy, który w miejscowościach przechodzi w asfalt. Cała druga część tego szlaku ma 39,7 km i prowadzi na wybrzeże do miejscowości Sant Feliu de Guíxols,

Jedziemy pięknym spokojnym asfaltem, świeci słońce, otacza nas typowa śródziemnomorska roślinność, jest bajkowo i nagle...

ale po ok. 20 km droga zmienia kierunek na wschodni, a to nam zupełnie nie odpowiada, więc po takim dystansie rozstajemy się ze szlakiem. Podobnie jak część

pierwsza, tak i ten odcinek jest po prostu świetny, mijamy stare stacje kolejowe, specjalne instalacje związane zarówno z pociągami, jak i z kolarstwem, jak np. wiszące metalowe rowery w Llambilles. Ze szlakiem rozstajemy się w miejscowości Llagostera wjeżdżając na drogę GIV-6744, a potem GIP-6821. Mam takie poczucie, że od Llagostery do wybrzeża nie ma dobrego wariantu rowerowego prowadzącego na południowy zachód. Droga GI-681 jest głównym zjazdem z autostrady, jest dość szeroka i ruchliwa, natomiast z tej 6821, o której wspomniałem wcześniej, trzeba w pewnym momencie zjechać i ten moment może być sporą niespodzianką.

Afrykańska przygoda

Jedziemy pięknym spokojnym asfaltem, lekko wznoszącym się (150 metrów na 5 kilometrach), świeci słońce, otacza nas typowa śródziemnomorska roślinność, jest bajkowo i nagle track pokazuje, że trzeba skręcić w prawo. W krzaki, w jakąś dziwną drogę, której bliżej do szlaku MTB niż podróżniczego traktu. I tu właśnie zaczyna się nasza pierwsza mikroprzygoda. Podjeżdżamy tą drogą przez kilometr (6,8%) do czegoś, co można nazwać wioską, choć bardziej przypomina to lokalny koniec świata.

ta, a potem zjeżdżamy (3,5 km i -260 m) kamienistą szutrówką na drugą stronę wzniesienia do drogi GI-681. Jedziemy nią 2,5 km i skręcamy w prawo w poszukiwaniu drugiej mikroprzygody. Zaczyna się niewinnie, bo toczymy się asfaltem, ale za kempingiem Tossa asfalt się kończy, a my stajemy przed dwiema możliwościami. Pierwsza to jazda dalej prosto – po pewnym czasie asfalt znowu się pojawi, a my wyjedziemy do centrum wioski Serra Brava. Druga to skręt w jedną z dróg w lewo. Pierwotnie wybrałem właśnie tę opcję, okazała się jednak makroprzygodowa – czerwona, niemal afrykańska, wąska droga w buszu wznosi się po dzikich zboczach i można się mocno zdziwić – w końcu jesteśmy rzut beretem od pięknej Girony i komercyjnego wybrzeża Morza Śródziemnego. A tu trzeba prowadzić rower! Po weryfikacji tego wariantu w praktyce, myślę, że turystycznie lepiej wybrać drogę przez Serra Brava. Jest troszkę dłuższa, przewyższenie jest praktycznie jednakowe, natomiast nawierzchnia będzie lepsza. Trzeba tylko mieć na uwadze jedną rzecz – w tym rejonie drogi czy serpentyny są poprowadzone na tarasach, momentami niemal jedna nad drugą i GPS może się trochę gubić. Zresztą, nawet bez GPS-u, a posługując się zwykłą mapą, można dostać oczopłasu od tych wszystkich wężyków, które się tam wiją. Agnieszka pisała o tym fragmencie tak: „Obawialiśmy się, że nie będziemy mieli materiału na spektakularną relację, ale szybko nasze obawy zostały rozwiane.

W tym rejonie drogi są poprowadzone na tarasach, momentami niemal jedna nad drugą i GPS może się trochę gubić.



Wiatr wiał nam w twarz, kamienie pod kołami i role się odwróciły – to my prowadziliśmy rowery, a nie rowery nas”. Zjeżdżamy do asfaltu, drogi GI-682 i po 5 km jesteśmy w Lloret de Mar – pierwszym kurorcie na wybrzeżu Costa Brava. W latach 2011-2013 miasteczko było miejscem akcji polskiego serialu „Pamiętniki z wakacji”.

Trawers hiszpańskiego wybrzeża

Z Lloret wyjeżdżamy równoległą drogą przez lasy przylegające do ogrodu botanicznego, podjeżdżamy przez 3 km (+110 m) pod Castell de Sant Joan de Blanes – XIII-wieczny zamek, piękny punkt widokowy i wizytówkę miejscowości Blanes. Na lokalnym kempingu, po około 50 km od startu tego etapu, nasza sztafetowa ekipa Atomówek zaliczyła pierwszy nocleg.

Z Blanes przez około 20 km jedziemy niemal plażą. Po lewej stronie kilometrami ciągną się piękne żółte piaski, po prawej palmy oraz kolejne kurorty i miasteczka, a my na środku, na ścieżce rowerowej. Nic tylko podciągnąć rękawki, chłonać słońce i zatrzymać się na lody, lemoniadę i zdjęcia. Sielanka jednak w pewnym momencie się kończy i trzeba zmierzyć się z rowerowymi realiami. Można powiedzieć, że dzieje się to na wysokości latarni **Callela**, którą uruchomiono w 1859 roku, a którą pierwotnie zasilano olejem. Miejsce, w którym stoi latarnia, jest naturalnie świetnym punktem widokowym, z którego można podziwiać piękne miasto, morze, ale i góry Parku Narodowego Montnegre i Corredor. Wracając jednak do rowerowych realiów – podróż wzdłuż hiszpańskiego wybrzeża Morza Śródziemnego nie jest intuicyjna. Kiedyś pewnie będzie, ale obecnie szlak EuroVelo 8 na odcinku od okolic Girony do Walencji nie jest nawet w budowie, lecz dopiero w planach. A to sprawia, że często mamy do wyboru dwie opcje – główną drogę, która w trakcie sezonu turystycznego jest bardzo ruchliwa, albo kombinowanie.



Barcelona nie będzie już tym samym miastem, gdy dźwigi opuszczą teren bazyliki Sagrada Família. Teoretycznie ma się to wydarzyć w roku 2026, w setną rocznicę śmierci Gaudiego, który ją zaprojektował. Lecz budowa trwa już prawie 140 lat, więc termin zakończenia prac można traktować z przymrużeniem oka.

Na potrzeby sztafety wybrałem to drugie rozwiązanie. Jednak jeśli komuś nie przeszkadza ruch samochodowy albo podróżuje szybko i na szosie, to pewnie lepiej po prostu jechać dalej drogą N-II. Ja postanowiłem ominąć około 15 km tej trasy i wystać sztafetę na kolejną mikroprzygodę na lokalnych wzgórzach. Za miejscowością Sant Pol de Mar odjeżdżamy na „chwilę” od morza, wjeżdżamy na drogę BV-5128, przejeżdżamy najpierw pod „eNką” łączącą nadmorskie kurorty, potem pod autostradą i wjeżdżamy w pagórzastą serpentylandię. Wrócimy nad morze po 25 km mając w nogach 400 metrów przewyższeń w górę i kolejne 400 metrów w dół. A w międzyczasie zwiedzimy kilka okolicznych miejscowości i znacznie zmienimy krajobraz. Atomówki

Trasa była jedną wielką serpentyną. Asfaltowe esy floresy odbierały nam moce.

w swoim pamiętniczku o tym odcinku pisały tak: „Trasa była jedną wielką serpentyną. Asfaltowe esy floresy odbierały nam moce. Pięły się mocno w górę. Za każdym zakrętem mieliśmy płonne nadzieje, że to już będzie koniec i poci-

śniemy trochę w dół. Nic bardziej mylnego, serpentyny i podjazdy zdawały się nie mieć końca, co i rusz padały stwierdzenia, że wyżej już być nie możemy... A jednak.” Dobrze, że Atomówki nie jechały przez Szwajcarię – to by dopiero się zdziwiły tym, jak wysoko mogą się znaleźć. Praktycznie od razu po zjechaniu nad morze wjeżdżamy do **Mataró**, gdzie na kempingu Barcelona sztafeta zakończyła kolejny dzień podróży. Kemping żegnając naszą ekipę, zamknął sezon i się, był 1 listopada.

Szlakiem Gaudiego

Mataró leży 30 km od **Barcelony**, więc siłą rzeczy okoliczne miejscowości są usiane bogatą infrastrukturą drogową i można wybrać sporo różnych lokalnych dróg, żeby ten dystans pokonać. W końcu jednak lądujemy i tak nad morzem na ścieżce rowerowej wzdłuż plaż, a gdy znajdziemy się już w stolicy Katalonii, możemy być pozytywnie zaskoczeni liczbą dróg rowerowych.

Szybki przejazd przez miasto byłby oczywiście grzechem, w Barcelonie trzeba się zatrzymać minimum na kilka godzin. Nawet nie tyle po to, żeby zobaczyć wszystko, co każdy turysta zobaczyć powinien, czyli np. Sagrada Família, Parc Guell, deptak La Rambla, modernistyczne kamienice Gaudiego czy dzielnicę gotycką (Barri Gòtic); ale po to, żeby poszwendać się po uliczkach miasta, pójść na kawę, zatrzymać się i poczuć, jak pulsuje tętno tego miasta.

O ile wjazd od wschodu do Barcelony jest bardzo naturalny i łatwy, o tyle wyjazd w kierunku zachodnim generuje trochę komplikacji. Żeby wrócić na piaszczyste plaże, najpierw musimy przekroczyć rzekę Llobregat, a później objechać lotnisko i wkomponować się jakoś między okoliczne strefy industrialne i autostrady. Wszystkie te manewry to łącznie około 15 km, zanim uda nam się znowu wjechać na nieco spokojniejsze ścieżki. W końcu docieramy do podmiejskich plaż Barcelony, które rozciągają się na odcinku niemal 10 km. Jest tutaj na pewno czystiej niż na plażach miejskich, a w okolicy roi się od restauracji, kawiarni i innych lokali. Gdy kończą się plaże, z braku innych opcji musimy wjechać na drogę C-31, która przez 5 km kręci się nad i pod autostradą,

aby w końcu zjechać bliżej morza i kręcić się dalej tam. Gdzieś na tych serpentynach na Atomówki lunął deszcz: „Jazda serpentynami szła nam bardzo wolno, co spowodowało, że zakorkowaliśmy jedyną trasę, ale z pomocą przyszedł pewien Hiszpan, który suportował nas do zjazdu, mimo że początkowo jechał w odwrotną stronę.

Jazda serpentynami szła nam bardzo wolno, co spowodowało, że zakorkowaliśmy jedyną trasę w okolicy.



Śmialiśmy się, że powinno się okazać, że jedziemy na kemping, który będzie już zamknięty, ale czuwało nad nami przeznaczenie namiotowe i zamykamy ostatecznie sezon na Campingu La Rueda, który następnego dnia zamknie się na całą zimę” – czytaliśmy w relacji z początku listopada. Po około 10 km zakrętów droga doprowadza nas do **Stiges**. Oprócz wielu plaż, miasteczko ma do zaoferowania przede wszystkim przepiękną architekturę. Najbardziej charakterystyczną budowlą jest XVII-wieczny kościół św. Bartłomieja i św. Tekli – patronów miasta. Znajduje się tuż przy głównej plaży, a widok rozciągający się z jego dziecinca dosłownie zapiera dech. Sitges znane jest w Hiszpanii ze swojej gejowskiej społeczności oraz dobrych plaż dla naturystów, które głównie okupują homoseksualiści, nie tylko latem, ale przez większą część roku. Takie liberalne podejście mieszkańców do homoseksualizmu uczyniło miasto gejowską stolicą Katalonii. Wyjeżdżając ze Stiges oddalamy się na chwilę od morza, żeby ominąć pole golfowe i zalesione pagórki. Przejazd nimi byłby na pewno super, ale

Palmy szumią na wietrze, mewy popiskują, a skóra powoli zmienia odcień na brązowy. Ale możemy też trafić tak jak nasza ekipa, czyli na wiatr w twarz, lejący deszcz i zalane tunele drogowe.

jest to teren trochę przypominający ukształtowaniem Lasek Wolski w Krakowie, więc lepiej byłoby mieć w takim miejscu rower MTB. Nad morze wracamy po 13 km w miasteczku Cubelles i dalej przez niemal 30 km podróżujemy nadmorskimi promenadami wzdłuż piaszczystych plaż. Jeśli świeci słońce, to jest sielankowo – palmy szumią na wietrze, mewy popiskują, a skóra powoli zmienia odcień na brą-

zowy. Ale możemy też trafić tak jak nasza ekipa, czyli na wiatr w twarz, lejący deszcz i zalane tunele drogowe. Na szczęście po deszczu zawsze wychodzi słońce.



Najpopularniejszym spotem surferskim w Hiszpanii jest oczywiście Tarifa, ale fanów różnych odmian tego sportu można spotkać praktycznie wzdłuż całego wybrzeża.



Pogoda w pierwszej połowie listopada była bardzo zmienna – czasem pozwalała na jazdę w krótkim rękawku, a czasem zmuszała do przywdziania przeciwdeszczowej peleryny.

Przez Tarragonę do Miami

W miasteczku Torredembarra wjeżdżamy na nieco ruchliwszą drogę N-340, którą po mniej więcej 14 km docieramy do Tarragony. Miasta łączy też fantastyczna nadmorska ścieżka – idealna do biegania – ale jechanie nią rowerem pewnie skończyłoby się tzw. „hike a bike”, czyli wycieczką z rowerem, a nie na rowerze. **Tarragona** słynie przede wszystkim z licznych, bardzo dobrze zachowanych i rozsianych po całym mieście zabytków z okresu rzymskiego. Znajdziemy tu ślady starożytności, które potwierdzają wspaniałą przeszłość Hiszpanii. Początkowo teren obecnej Tarragony zamieszkiwali Iberowie, potem Kartagińczycy, a od III w. p.n.e. znalazła się w rękach Rzymian. Rzymianie założyli tu bazę wojskową o nazwie Tarraco, z której wyruszali na podbój Półwyspu Iberyjskiego. Jednocześnie była to jedna z najbardziej eleganckich aglomeracji w całym rzymskim imperium. Pozostałości z tamtych lat możemy podziwiać do dziś. Kompleks archeologiczny, Passeig Arqueològic, obejmujący zabytki rzymskie, w 2000 roku tra-

Tarragona słynie przede wszystkim z licznych, bardzo dobrze zachowanych i rozsianych po całym mieście zabytków z okresu rzymskiego.

fił na listę światowego dziedzictwa UNESCO. W skład kompleksu wchodzi: amfiteatr, teatr, cyrk, hipodrom, mury miejskie, dwa fora rzymskie, nekropolia i akwedukt poza miastem. Warto zaplanować spędzenie tu kilku godzin i przy okazji skorzystanie z oferty licznych restauracji.

Gdy opuścimy Tarragonę, to już po 12 km jesteśmy w **Salou** – kolejnym miejscu godnym uwagi. Wizytówką miasteczka są oczywiście piękne plaże, ale umówmy się, w tym regionie plaże są wizytówką co drugiego miasteczka, więc szukamy innych „hajlajtów”. Zanim w ogóle wjedziemy do miasta, trzeba nieco zboczyć z kursu i udać się na Cap de Salou, czyli lokalny cypel wchodzący w morze.

Jest wręcz usiany punktami widokowymi, a wybrzeże obfituje w klify, więc jest na co popatrzeć. Łatwiej wprowadzić się tam pieszo, niż z rowerem, ale da się i tak. Potem wjeżdżamy do centrum, gdzie najważniejszym i najchętniej odwiedzanym przez turystów obiektem jest Torre Vella de Salou – wieża zbudowana w 1530 roku, aby ostrzegać miasto przed atakami piratów. W tym zabytkowym obiekcie odbywają się wystawy malarstwa, rzeźby, wyrobów ze szkła. Można tu wejść za darmo. Kolejne kroki warto skierować do XVIII-wiecznego kościoła Iglesia de Santa María del Mar, który został zbudowany na cześć morza i rybaków, stanowiących ważny element lokalnej gospodarki. Przez kolejnych 20 km znowu wieje nudą – plaże, ścieżki rowerowe na promenadach, kurorty, palmy, mewy, słońce – no ile można?!

Przez kolejnych 20 km znowu wieje nudą – plaże, ścieżki rowerowe na promenadach, kurorty, palmy, mewy, słońce – no ile można?!

Ostatnia mikroprzygoda, a właściwie dwie

Gdy miniemy miasteczko Miami Platja, z braku innych opcji wyjeżdżamy na lokalną drogę międzykurortową o numerze N-340.

Atmosfera w tej okolicy nieco się zagęszcza, robi się pagórkowato, pojawia się więcej klifów i rezerwatów przyrody, a między to wszystko jest wkomponowana autostrada i właśnie nasza droga. Nieco dalej od wybrzeża, na północny zachód rozciąga się rezerwat Serra de



Llaberia – fantastyczna lokalizacja trekkingowa obfitująca w mnóstwo pięknych szlaków na skalistych górkach wznoszących się na wysokość 700-800 metrów. My jedziemy niejako wzdłuż całego pasma. Po chwili droga się rozwidla i pojawia się podrzędna N-340a – drogi ponownie spotkają się za około 15 km, więc wybieramy tę o oznaczeniu „a”. Od opuszczenia Miami cały czas lekko podjeżdżamy – około 250 m na 20 kilometrach.

Drogi się łączą, podjeżdżamy jeszcze około 100 metrów mijając po drodze miejscowość El Perelló i skręcamy w prawo na lokalne wąskie asfalty przebiegające wśród gajów oliwnych. Przez 9 km zjeżdżamy ze wzgórz pięknymi wąskimi starymi asfaltami do L'Ampolla. Po 35 km przygód na wzgórzach znów jesteśmy nad morzem i nagle po minięciu miasteczka robi się płasko, jak na stole. To znak, że dotarliśmy do delty rzeki Ebro, która w tym miejscu po prawie 1000 km swojego biegu wpły-

Delta rzeki Ebro to wielka ostoja ptactwa – gości ponad 300 gatunków, głównie brodzących, takich jak czaple, ibisy, perkozy, kaczki, flamingi.

wa do Morza Śródziemnego. Jej delta to obszar unikatowy w skali Europy. Stanowi ponad 300 km kwadratowych terenu poprzecinanego licznymi kanałami nawadniającymi, z ogromnymi połaciami pól ryżowych. Wielka ostoja ptactwa – ponad 300 gatunków, głównie brodzących, takich jak czaple, ibisy, perkozy, kaczki, flamingi. Na terenie delty jest ich wyjątkowo dużo, nawet w pewnych okresach roku dochodzi do 100 tys. Podobnie jest z rybami, szczególnie liczne są węgorze, a także wszelkiego rodzaju owoce morza, które są jednym z głównych składników kuchni katalońskiej. Na środku tego obszaru, nad samą rzeką znajduje się miasteczko Deltebre. Ciekawe skąd ta nazwa...



W Deltebre Atomówki zakończyły szósty dzień swojego etapu, a wspominały to tak: „Jak już wcześniej pisaliśmy, sezon kempingowy się kończy, co zmusiło nas (niestety) do poszukiwania apartamentu. Dotarliśmy do Deltebre i okazało się, że śpimy u słynnego lokalnego artysty, który pokazał nam swoje dzieła. Po szybkiej kąpeli stwierdziliśmy, że należy nam się kolacja na mieście.

Nasz suport pokazał nam trzy najlepsze restauracje i tym sposobem trafiliśmy na przepyszną, najwspanialszą, prawie prosto z pieca, o wyszukanym smaku pizzę z osiedlowego sklepu SPAR. Niestety okazała się być niejadalna. Zobaczymy, co przyniesie jutrzejszy dzień”. Może więc delta jest ostoją ptactwa, ale najwyraźniej ostoją restauratorów już nie.

Gdy przekroczymy rzekę, czeka nas jeszcze 18 totalnie płaskich kilometrów przez pozostałą część delty i pola ryżowe, a potem kontynuujemy jazdę wzdłuż wybrzeża. Jest nieco mniej epicko, nie ma piaszczystych plaż, są klify, ale raczej w miniaturce, po prostu pedałowujemy lokalnymi asfaltami między domami, czasem dalej, a czasem bliżej morza. Ten stan trwa przez 40 km, dopóki nie dotrzemy do miasteczka **Peníscola**, gdzie wita nas wspaniały zamek, który absolutnie trzeba odwiedzić, ze względu na jego bogatą historię i piękne otoczenie. Zamek niegdyś należał do Templariuszy, a w późniejszych czasach był domem papieża Benedykta XIII, by później

Peníscola jest bramą do Parku Narodowego Sierra de Irta. I oto nadchodzi kolejna mikroprzygoda.

otworzyć swoje podwoje dla wydarzeń kulturalnych, religijnych i teatralnych. Dziś jest ośrodkiem sztuki i kultury dla ludzi z całego świata. Samo miasto ma również niesamowitą historię. W swoim czasie było pod rządami Fenicjan, później Greków, podbitych z kolei przez Kartagińczyków. Peníscola jest również bramą do Parku Narodowego Sierra de Irta. I oto nadchodzi kolejna mikroprzygoda. Góry ciągną się na odcinku 20 km, piętrzą się na oszałamiające 500 metrów, ale schodzą prosto do morza, więc przejazd przez park wymaga nieco podjeżdżania, zjeżdżania i trawersowania (łącznie +290 m/-290 m).



Wjeżdżamy w Parku Narodowego Sierra de Irta. Poziom malowniczości otoczenia wzrasta jeszcze bardziej.

Wszystko to na szutrowych drogach ciągnących się pośród dzikiej przyrody. Jest to rezerwat w czystej postaci, bez żadnego asfaltu, ale za to pełen ścieżek, stanowisk archeologicznych i ruin z czasów Maurów. Właściwie można go objechać, ale absolutnie nie ma to sensu. Wręcz polecałbym zdjąć sakwy, zostać na jedną noc w Peníscola, objechać, obiegać lub obejść tyle miejsc, na ile wystarczy sił i dopiero ruszyć dalej. Gdy minimy park, docieramy do miejscowości Alcossebre, gdzie można zatrzymać się na kempingu Playa Tropicana.

To już koniec?

Po opuszczeniu Alcossebre przez 25 km suniemy między plantacjami mandarynek, migdałów, opuncji i małymi miasteczkami, po czym docieramy do miejscowości **Orpesa**, gdzie wjeżdżamy w „zieloną drogę”. Jest to wprawdzie krótki, ale fenomenalny odcinek ścieżki rowerowej poprowadzonej w miejscu dawnej linii kolejowej. W niektórych miejscach pojawia się nazwa „via verde paradise” – myślę, że jest bardzo trafna. Szlak do kolejnego miasteczka – **Benicàssim** – prowadzi nadmorskim klifem, z fantastycznymi widokami, a dodatkowymi atrakcjami są stary metalowy most i oświetlony tunel. Jest to

światny przykład, jak z wydawałoby się niczego można zrobić wspaniałą atrakcję turystyczną. Benicàssim dzieli już tylko 15 przyjemnych kilometrów od **Castelló de la Plana** – miasta, które jest odpowiednikiem Girony dla Walencji. Nie w kontekście historycznym, lecz jako lokalizacja lotniska tanich linii w pobliżu dużego miasta. Tak jak Girona jest spokojniejsza i cichsza od Barcelony, tak i Castelló de



la Plana nie przyciąga tylu turystów, co Walencja. A jest tutaj kilka rzeczy, które warto zobaczyć, jak np. położony na wzgórzu La Magdalena, pochodzący z czasów Maurów zamek – Castel Vell; gotycka XII-wieczna Konkatedra Świętej Marii na Plaza Mayor i budynek ratusza czy XV-wieczna dzwonnica El Fadrí. Z miasta można dość komfortowo wyjechać ścieżką rowerową poprowadzoną wzdłuż drogi CV-18, która jest obwodnicą zarówno dla Castelló, jak i kolejnych miasteczek: Almassora, Villarreal i Burriana. Gdy minimy tę ostatnią, skręcamy w lewo i wracamy na wybrzeże, żeby po raz

**Ostatnie podrygi
sielskości żegnamy
w Port de Sagunt, potem
przebijamy się przez strefę
industrialną i powoli
odjeżdżamy od wybrzeża.**

ostatni (przez 20 km) nacieszyć się tak bliskim towarzystwem plaż, palm, morza i kurortów. Droga wprawdzie nie przebiega aż tak blisko wody, jak wcześniej, ale w dowolnym momencie wystarczy zjechać w bok i po 100-200 metrach jesteśmy na plaży. Ostatnie podrygi sielskości żegnamy w Port de Sagunt, potem przebijamy się przez strefę industrialną i powoli odjeżdżamy od wybrzeża, żeby kładką pieszo-rowerową przekroczyć autostradę V-21 i dojechać do drogi CV-306 i dalej CV-300, wzdłuż których prowadzi ścieżka rowerowa, która później w bardzo naturalny sposób wprowadza nas do Walencji. Może nie jest to szczyt rowerowych marzeń, wjazd do Lyonu wzdłuż Rodanu jest rozwiązany o niebo lepiej, ale przynajmniej takiego wjazdu do centrum życzyłbym sobie w każdym dużym mieście. W Walencji spokojnie można spędzić kilka dni, bo naprawdę jest tutaj wiele miejsc wartych odwiedzenia i co ważne, miasto nie jest męczące i przytłaczające. Jedną z najciekawszych historii związanych z Walencją wydarzyła się całkiem niedawno, bo w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Miasto od wieków rozwijało się nad rzeką Turia, która regularnie wylewała podczas licznych powodzi, lecz w roku 1957 postanowiono coś z tym zrobić. Chcąc ochronić miasto przed kolejnymi zniszczeniami, postanowiono znacznie zaingerować w środowisko naturalne i zmienić bieg rzeki.



W 1960 roku utworzono nowe koryto, omijające ściśle centrum, a miejsce starego nurtu po konsultacjach społecznych zagospodarowano jako tereny zielone, nazywane dziś Ogrodami Turii. Gdy spojrzymy na mapę, pięknie widać, jak naturalna nitka zieleni przetacza się przez całe centrum aż do morza. Od strony zachodniej mamy unikatowe otwarte zoo, tzw. Valencia Bioparc, w którym żyje około 4000 zwierząt, chroniony park Cebecera o wyjątkowo bogatej roślinności, po drodze mnóstwo innych atrakcji i miejsc użyteczności publicznej, a od wschodu budowane od późnych lat dziewięćdziesiątych nowoczesne Miasteczko Sztuki i Nauki, między innymi z oceanarium i planetarium. Całość robi niesamowite wrażenie. A to zaledwie część Walencji, bo przecież trzeba jeszcze odwiedzić historyczne centrum, gdzie wokół licznych placów znajdziemy wiele wspaniałych budynków, jak np. katedra, w której mieści się podobno prawdziwy i jedyny Święty Graal; ośmioboczna

Walencja daje tyle możliwości spędzenia czasu i jest tak ciekawa, że trzeba na jej zwiedzanie zarezerwować przynajmniej 2-3 dni.

dzwonnica katedralna – Miguelete, stanowiąca świetny punkt widokowy czy arena walk byków. Z kolei żeby zaspokoić potrzeby kulinarne, możemy odwiedzić Mercado Central, czyli tujejszy rynek z żywnością, zrzeszający lokalnych przedsiębiorców produkujących między innymi pomarańcze, migdały, oliwki czy suszone szynki serrano. Podsumowując – Walencja daje tyle możliwości spędzenia czasu i jest tak ciekawa, że trzeba na jej zwiedzanie zarezerwować przynajmniej 2-3 dni.



Aneta Siwiec:

“Pierwszy etap, czyli „zjazd” z Girony na wybrzeże, dla posiadaczki „komunijnego Wigry 3” był wyzwaniem, ale przecież w życiu też przychodzą momenty, które są trudne i je pokonujemy tak też i tym razem się stało, zrobiliśmy to! Wybrzeże dało nam tyle piękna – te plaże, przyroda, połyskująca tafla morza, to była wspaniała uczta dla oka i ducha oraz nagroda za „te gorsze dni”. Podjazdy porównałabym do karmienia dziecka – jeszcze jedna łyżeczka i jeszcze jedna – a potem „brzuszek najedzony” pięknymi widokami. Piękne plaże, skaliste brzegi, malownicze miasteczka położone na wzgórzach, piękne sady mandarynkowe – tak właśnie pachniała Hiszpania, może z wyłączeniem pól cebuli. Muszę też dodać, że infrastruktura dla rowerów w Barcelonie i Walencji zasługuje na uznanie, bardzo dobrze zwiedza się te miasta rowerem. Tam pierwszy raz spotkałam się ze ścieżkami rowerowymi na rondach.” 🚲



Krzysiek Mirowski:

“Perspektywa podróży przez Hiszpanię budziła w nas bardzo pozytywne emocje połączone z nutą ekscytacji. Po ciężkich dniach podróży mogliśmy na szczęście zwiedzać miejscowości takie jak Girona, Walencja czy Barcelona i napać się pięknymi widokami. Mimo że trasa była piękna i rozciągała się wzdłuż hiszpańskich kurortów, to miejscami była dość wymagająca – nie raz pokonywaliśmy coraz to większe wzniesienia po czerwonej jak piekło, kamienistej drodze w 30-stopniowym upale, po serpentynach asfaltowej góry wjeżdżaliśmy w ścianie deszczu do momentu, w którym niespodziewanie nastąpiła noc. Momentami Hiszpania zaskakiwała nas pustkami i miastami widmo. Nic nas nie pokonało, za to my pokonaliśmy wszelkie słabości i daliśmy radę przejechać prawie 600 km. Z Agą (Mirką), Atą, Wiołą i Krzyśkiem (suportem) byliśmy jedną drużyną grającą do tej samej bramki. To była niesamowita przygoda, która pokazała, że nie ma rzeczy niemożliwych, a jeśli oberzemy jakiś cel i mamy obok siebie odpowiednich ludzi, to nic nie jest w stanie nam przeszkodzić!” 🚲